CZŁOWIEK I WĄŻ
(The Man and the Snake)

Ambrose Bierce

Tłumaczenie: Andrzej Ziółkowski

[w:] "Tales of Soldiers and Civilians", by Ambrose Bierce. Copyright, 1891, by E. L. G. Steele.

I.

"Jest niepodważalną prawdą, potwierdzoną przez liczne doświadczenia, że spojrzenie węża posiada magnetyzm, który sprawia, że ten, kto dostanie się pod jego wpływ, wbrew własnej woli ulega sile przyciągania aż ginie straszną śmiercią od ukąszenia."

Rozciągnięty wygodnie na kanapie, w szlafroku i kapciach, Harker Brayton uśmiechał się gdy czytał przytoczony fragment z *Cudów nauki* Morrystera. "Jedynym cudem w tym wszystkim jest to", powiedział sam do siebie, "że mądrzy i wykształceni ludzie w czasach Morrystera wierzyli w bzdury, którym dziś nie dałby wiary nawet dureń."

Brayton zamyślił się - gdyż był on człowiekiem inteligentnym - i bezwiednie opuścił książkę, zatrzymując wzrok nieporuszony. Gdy tom znalazł się poniżej linii, po której biegło jego spojrzenie, coś w ciemnym rogu pokoju przykuło jego uwagę. To, co dostrzegł w cieniu pod łóżkiem, było dwojgiem maleńkich, świecących punkcików, oddalonych od siebie o jakiś cal. Mogły to być refleksy gazowego palnika, wiszącego na ścianie ponad nim, odbite od metalowych łebków gwoździ; nie zastanawiał się nad tym dłużej, powrócił do lektury. Chwilę później coś - jakiś impuls, którego nie był stanie zrozumieć - sprowokował go do powtórnego opuszczenia książki i przyjrzenia się bliżej temu, co przed chwilą zobaczył. Świecące punkciki wciąż tam były. Zdawały się lśnić jaśniej niż poprzednio, odbijając zielonkawy blask, którego wcześniej nie dostrzegł. Pomyślał również, że być może przesunęły się odrobinkę - były jakby bliżej. Wciąż jednak pozostawały w zbyt głębokim cieniu, aby pobieżna ocena mogła odkryć ich naturę i przyczynę istnienia, powrócił więc do lektury. Nagle fragment przeczytanego tekstu sprawił, że w jego głowie zrodziła się myśl, która zaskoczyła go i odłożył książkę po raz trzeci, na skraj kanapy, gdzie wysunęła mu się z ręki i upadła otwarta na podłogę, grzbietem do góry. Brayton uniósł się na łokciach i począł uważniej wpatrywać w mrok pod łóżkiem, gdzie punkciki, jak mu się zdawało, rozjarzyły się żywszym płomykiem. Teraz jego uwaga była w pełni skoncentrowana na przedmiocie, jego spojrzenie bardziej przenikliwe i uporczywe. Ujawniło ono wreszcie, tuż przy nodze łóżka, zwiniętego w spiralę dużego węża - a świecące punkciki okazały się jego oczami! Jego przerażająca głowa, wysunięta płasko poza resztę spiralnie ułożonego ciała, skierowana była prosto na niego, kształt szerokich, złowieszczych szczęk i płaskiego czoła zdradzał kierunek wrogiego spojrzenia gada. Oczy przestały być jedynie świecącymi punkcikami; wpatrywały się teraz prosto w oczy mężczyzny ze oczywistą, złośliwą intencją.

II.

Wąż w sypialni we współczesnym mieście i w mieszkaniu o wyższym standardzie jest, na szczęście, nie tak powszechnym zjawiskiem, aby wyjaśnienie jego obecności nie było rzeczą konieczną. Harker Brayton, kawaler w wieku trzydziestu pięciu lat, erudyta, bez stałego zajęcia, nieźle wysportowany, zamożny, cieszący się powodzeniem i doskonałym zdrowiem, powrócił do San Francisco zwiedziwszy przeróżne dalekie, egzotyczne kraje. Jego potrzeby, z pewnym zamiłowaniem do wygód, wzmogły jeszcze to zamiłowanie po okresie długich niewygód; i standardy nawet w Castle Hotel nie wystarczały aby te potrzeby zaspokoić, z prawdziwą radością przyjął więc zaproszenie w gościnę od swojego przyjaciela, doktora Druringa, szanowanego naukowca. Dom doktora Druringa, wiekowy, staromodny, usytuowany na obrzeżach miasta, posiadał rodzaj widocznej, zewnętrznej powściągliwości. Nie pasował do sąsiadującego z nim, ulegającego ciągłym zmianom otoczenia i zdołał rozwinąć pewien zasób cech oryginalnych, wynikających z odosobnienia. Jedną z nich było "skrzydło", w sposób wyraźny nie pasujące tu, z punktu widzenia zasad architektury, i nie mniej kontrowersyjne pod względem swego przeznaczenia; było bowiem połączeniem laboratorium, menażerii i muzeum. To właśnie tu doktor poświęcał naukową część swojej natury badaniom nad tymi formami zwyczajów zwierząt, które budziły jego ciekawość i zaspokajały jego zamiłowania - a które, trzeba dodać, kierowały się ku raczej niższym formom życia. A jeśli jego uwagę przykuła jakaś wyższa forma życia, nawet obdarzona zwinnością i urokiem, to tylko wtedy, gdy posiadała ona pewne prymitywne cechy przynależne do tych "głównych protagonistów jego badań," jak ropuchy i węże. Jego naukowe sympatie były wyraźnie gadzie; kochał prymitywną przyrodę i nazywał siebie *Zolą zoologii*. Jego żona i córki, nie posiadając daru, który dałby im szansę pobudzenia jego oświeconej ciekawości, co do zajęć i sposobu życia naszego, urodzonego pod złą gwiazdą gatunku, były, bez zbytniej srogości, wykluczone z jego *Gadziej Świątyni*, i skazane na towarzystwo ludzkiego rzędu; chociaż, aby złagodzić nieco ich los, zezwolił im w swej wspaniałomyślności, przewyższać gady pod względem poziomu życia i błyszczeć przepychem.

Jeśli chodzi o konstrukcję i umeblowanie *Gadziej Świątyni*, to odznaczała się ona surowymi uproszczeniami stosownymi do skromnych warunków życia jej lokatorów, z których wielu, bez wątpienia, nie mogło być pozostawionych na swobodzie, co jest wszak koniecznym warunkiem wygodnego życia, ponieważ posiadali oni pewną kłopotliwą cechę, a mianowicie byli żywi. Jednak w ich własnych apartamentach cieszyli się maksymalną niezależnością ograniczaną jedynie, z uwagi na ich fatalny zwyczaj, koniecznością niedopuszczenia do tego, żeby pożarli się nawzajem; i, jak Brayton został roztropnie uprzedzony, było więcej niż tradycją, że niektóre z nich, od czasu do czasu, byli napotykani w częściach domostwa, gdzie mogliby mieć pewien kłopot z wytłumaczeniem swojej obecności. Pomimo *Gadziej Świątyni* i jej niesamowitych lokatorów - do których, nawiasem mówiąc, Brayton nie przykładał większej wagi - życie w posiadłości państwa Druring przypadło mu do gustu.

III.

Oprócz nieprzyjemnego zaskoczenia i uczucia lekkiej odrazy, Brayton nie był specjalnie poruszony. W pierwszej chwili pomyślał, że powinien zadzwonić po służącego;

ale, chociaż sznurek dzwonka zwieszał się w zasięgu ręki, nie pociągnął; przyszło mu do głowy, że gdyby to zrobił, ktoś mógłby pomyśleć, że się przestraszył, a on z pewnością lęku nie czuł. Bardziej uderzyła go świadomość absurdalności całej sytuacji, aniżeli zagrożenie; było to oburzające, i całkowicie bez sensu.

Gad był z gatunku nie znanego Braytonowi. Mógł się jedynie domyślać jego długości; ciało w swej najgrubszej widocznej części wydawało się mieć rozmiary jego przedramienia. Na ile był on niebezpieczny, jeśli w ogóle był? Czy był jadowity? Czy był to dusiciel? Jego wiedza na temat oznak naturalnego niebezpieczeństwa nie umiała przyjść mu z pomocą; nigdy się tego nie uczył.

Jeśli wąż nie był niebezpieczny, to z pewnością był wstrętny. Było to *de trop* - "niedorzeczność" - impertynencja. Istota nie pasowała do otoczenia, nie była go warta. Nawet barbarzyńskie gusta naszych czasów i okolic, które kazały obwieszać ściany pokojów różnorakimi obrazami, ustawiać meble na podłogach, a na meblach różnorodne bibeloty, nie potrafiłyby znaleźć odpowiedniego miejsca dla tego kawałka dzikiego życia z dżungli. Co więcej - myśl nie do zniesienia! - powietrze, które to zwierzę wydychało, mieszało się z powietrzem, którym oddychał on sam!

Takie myśli, mniej lub bardziej świadomie, pojawiały się w głowie Braytona i dawały impuls do działania. Proces ten zwykliśmy nazywać zastanowieniem i decyzją. W ten sposób jesteśmy zarazem mądrzy i niemądrzy. W ten sposób uschnięty liść w jesiennej bryzie wykazuje więcej lub mniej inteligencji niż inne liście, ponieważ upada na ziemię a nie na wodę w stawie. Tajemnica ludzkiego działania pozostaje nierozwiązana - coś sprawia, że nasze mięśnie się napinają. Czy ma jakieś znaczenie to, że zmianom molekularnym nadamy nazwę woli?

Brayton powstał i przygotował się do wycofania spod zasięgu węża, nie prowokując go na ile to możliwe i wyjść przez drzwi. Ludzie wycofują się w ten sposób w obliczu wielkości, ponieważ wielkość jest siłą a siła jest groźna. Wiedział, że może przesunąć się tyłem bez przeszkód, i że odnajdzie drzwi bez omyłki. A jeśli gad ruszy za nim, ten sam gust, który obwiesił ściany malowidłami, bardzo przewidująco dodał cały arsenał morderczej orientalnej broni, spośród której będzie mógł pochwycić to narzędzie, które będzie najlepiej nadawać się do okoliczności. A tymczasem oczy węża rozpaliły się wrogością, jeszcze bardziej bezlitosną niż wcześniej.

Brayton dźwignął w górę prawą stopę, aby zrobić krok w tył. W tym momencie poczuł jakiś wewnętrzny opór.

"Uważałem się za człowieka odważnego," wyszeptał; "czy była to tylko duma a nie odwaga? Przecież nie ma nikogo, kto poświadczyłby wstyd, jeśli się wycofam?"

Przytrzymał się prawą ręką oparcia krzesła, jego noga zatrzymała się w powietrzu.

"Nonsens!" Powiedział na głos; "nie jestem aż takim tchórzem, żeby obawiać się, że wyjdę na zlęknionego."

Uniósł nogę nieco wyżej, zginając ją w kolanie, po czym ustawił ją sztywno na podłodze - jakiś cal... przed drugą nogą! Nie był w stanie wytłumaczyć, jak to się stało. Ruch lewej nogi miał ten sam skutek; znalazła się przed prawą. Zbliżał się do węża, zamiast oddalać! Ręka na oparciu krzesła ściskała je kurczowo; ramię było wyprostowane, wyciągnięte nieco do tyłu. Mogłoby się wydawać, że nie chce zluzować uchwytu. Odrażająca głowa węża była wciąż wysunięta przed zwinięte ciało, jak wcześniej, na wysokości karku. Nie poruszał się, ale jego oczy zamieniły się w elektryczne iskry, promieniujące nieskończoną ilością rozświetlonych igieł.

Mężczyzna zbladł. Ponownie zrobił mimowolny krok do przodu i następny, ciągnąc krzesło za sobą, które, gdy w końcu zwolnił uchwyt, upadło z trzaskiem na podłogę. Mężczyzna wydobył z siebie jęk; wąż ani się nie poruszył ani nie zasyczał, ale jego oczy były dwoma oślepiającymi słońcami. Cały gad był zupełnie ukryty poza

nimi. Promieniowały powiększającymi się kręgami bogatych i żywych kolorów, które po osiągnięciu swego maksimum, znikały jak mydlane bańki; zdawały się docierać do twarzy człowieka, by po chwili znaleźć się niezmierzony dystans dalej. Słyszał dochodzące z oddali ustawiczne pulsowanie bębna z chaotycznymi dźwiękami melodii, nieprawdopodobnie słodkiej, jak brzmienie eolskiej harfy. Przypomniała mu melodię wschodzącego słońca posągu Memnona, i pomyślał, że stoi w trzcinach nad brzegiem Nilu, słuchając w uniesieniu tego nieśmiertelnego hymnu, poprzez ciszę stuleci.

Muzyka ucichła; a raczej przemieniła się w niedostrzegalny sposób w odległe odgłosy nadciągającej burzy. Krajobraz, połyskujący słońcem i deszczem, rozciągnął się przed nim, z łukiem barwnej tęczy zataczającej swój gładki łuk nad setkami widocznych miast. Pośrodku ogromny wąż, noszący koronę, wyciągał swój łeb ponad ogromnym cielskiem i patrzył na niego oczami jego zmarłej matki. Nagle ten czarujący krajobraz począł szybko unosić się, jak kurtyna w teatrze, aż zniknął w próżni. Upadł na podłogę uderzając się mocno w twarz i w klatkę piersiową. Krew polała się z rozbitego nosa i potłuczonych warg. Przez moment był oszołomiony, ogłuszony, leżał z zamkniętymi oczami, jego twarz skierowana na drzwi. Po kilku chwilach doszedł do siebie i uświadomił sobie, że upadek, który sprawił, że przestał widzieć oczy węża, przełamał urok, który nim zawładnął. Poczuł, że teraz, nie patrząc w jego kierunku, będzie w stanie się wycofać. Ale myśl o wężu kilka stóp od jego głowy, chociaż niewidocznym - prawdopodobnie spinającym się do skoku aby owinąć się wokół jego gardła - była przeważająca. Opuścił głowę, ponownie spojrzał w te fatalne oczy i ponownie wpadł w ich sidła.

Wąż nie poruszył się, wydawało się nawet, że stracił swą moc oddziaływania na wyobraźnię; straszne halucynacje sprzed kilku chwil przeminęły. Poniżej tego płaskiego i pozbawionego mózgu czoła, jego ciemne, paciorkowate oczy połyskiwały nieruchomo, dokładnie tak, jak na początku, z wyrazem niewysłowionej złośliwości. Było to tak, jakby stworzenie, upewniwszy się, że odniosło sukces, zdecydowało więcej nie używać wabiącego czaru.

Teraz nastąpiła przerażająca scena. Mężczyzna, leżąc na podłodze bliżej niż metr od swojego wroga, uniósł na łokciach górną część tułowia, głowę odrzucił do tyłu, nogi wyprostował na całą długość. Jego twarz była biała pomiędzy krwawymi plamami; jego oczy były wytężone do granic możliwości. Na jego wargi wyszła piana; skapywała płatami. Silne konwulsje przebiegły jego ciało, skręcając je niemal w serpentynę. Zgiął się w pół, przesuwając nogi z jednej strony na drugą. Każda chwila przybliżała go coraz bardziej do węża. Wyrzucił ręce do przodu, by odepchnąć się w tył, ale wbrew własnej woli, zaczął znowu pełznąć w kierunku gada.

IV.

Doktor Druring i jego żona siedzieli w bibliotece. Badacz był w wyjątkowo dobrym humorze.

- Właśnie zdobyłem, poprzez zamianę z innym kolekcjonerem, - powiedział, - wyborny okaz ofiofaga.

- A coż to znowu takiego? - Zapytała kobieta, lekko ospałym tonem.

- A niech mnie, cóż za kompletna ignorancja! Moja droga, mężczyzna, który po zawarciu małżeństwa dowiaduje się, że jego żona nie zna greki, ma wystarczające podstawy by wziąć rozwód. Ofiofag to wąż, który zjada inne węże.

- Mam nadzieję, że zje wszystkie twoje, - odparła, przesuwając od niechcenia lampę. - A w jaki sposób zniewala on inne węże? Czy przez zauroczenie?.

- Dokładnie tak, jak ty, moja droga, - powiedział doktor z nutą rozdrażnienia w głosie. - Wiesz jak denerwujące dla mnie jest każde wspomnienie o tej prostackiej wierze w urok rzucany przez węże.

Rozmowa została nagle przerwana przez donośny krzyk, który zabrzmiał w cichym domu, jak krzyk demona zza grobu. Wrzask rozbrzmiał jeszcze raz i jeszcze raz, z przerażającą wyrazistością. Oboje zerwali się na równe nogi, mężczyzna zaskoczony, kobieta blada i oniemiała ze strachu. Zanim ucichło echo ostatniego krzyku, doktor wybiegł już z pokoju i pobiegł po schodach na górę, przeskakując po dwa stopnie na raz. W korytarzu, przed pokojem Braytona, zobaczył kilkoro służby, którzy zeszli z wyższego piętra. Wszyscy razem wtargnęli do pokoju, bez pukania. Drzwi nie były zamknięte na klucz i otwarły się bez trudu. Brayton leżał na brzuchu na podłodze, martwy. Jego głowa i ramiona były częściowo ukryte pod krawędzią łóżka. Wyciągnęli ciało obracając je na wznak. Twarz była umazana krwią i pianą, oczy szeroko otwarte, wytrzeszczone - okrutny widok!

- Musiał dostać ataku serca, - stwierdził naukowiec, przyklękając i kładąc rękę na piersi denata. W tej schylonej pozycji, przypadkiem zerknął pod łóżko. - Dobry Boże! - A skąd się to tutaj wzięło?

Sięgnął ręką pod łóżko, wyciągnął węża i cisnął go, wciąż zwiniętego w spiralę, na środek pokoju, gdzie, z szorstkim chrobotem, prześlizgnął się po wypastowanej podłodze i zatrzymał pod przeciwległą ścianą pozostając nieruchomo. Był to wypchany wąż; jego oczy zrobione z dwóch zapinek od butów.